Ner 12. Kraków, 26go Marca. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 zł.	—	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	—	
Kwartalnie .	1 „	50	„ „ „
Miesięcznie .	— „	50	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	5 „	10	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	55	„ „ „
Miesięcznie .	— „	85	„ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	7 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	60	„ „ „
Kwartalnie .	1 „	80	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 zł.	40	c. w. a
Półrocznie .	5 „	70	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	85	„ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.

Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., nastepnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.

Listy i przesyłki pieniężne należy frankować i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**

Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

OGŁOSZENIE PRZEDPŁATY.

Za zbliżaniem się nowego ćwierćrocza zapraszamy niniejszem do spiesznego łaskawego ponowienia Prenumeraty na nasze pismo, którego ceny u góry są podane. Za spieszne zgłaszanie się bardzo obowiązani będziemy: bo nam bardzo zależy na wczesnem *dokładnem* obliczeniu własnego położenia.

Jak dotąd, tak i w przyszłości, będziemy się starali coraz bardziej rozwijać *Niewiastę*, które to pismo i nauczającem i bawiącem być powinno zarazem. Lecz i teraz zwracamy uwagę Szlachetnych Polek na to, że bez większego Ich współudziału, Redakcya na pożądanym szczycie nie rychło stanie. Niechaj tylko powiększy się liczba Prenumerujących, a Redakcya pewnie nie o składaniu pieniędzy, ale o coraz bogatszem wyposażaniu *Niewiasty* przemyśliwać będzie. Dzisiaj ma Redakcya jedynie kłopoty i mozołę: bo druk, papier, stępel i t. p. przy dość skromnej liczbie Prenumerujących, na żaden sposób niedozwalają łożyć na honorowanie artykułów, ileby tego żywszy wzrost pisma wymagał. Potrzeba, aby Zastęp Prenumerujących był potężnym, a pismo niezawodnie najzupełniej będzie odpowiadało celowi. Zachęcajcie tedy Panie! Swoje Zacne Znajome do prenumerowania na *Niewiastę*, a to przez wzgląd na własną i *publiczną korzyść*.

Zalegający z wypłatą za czas miniony, raczą *czemprędzej* przysłać nam *należność*.

Mamy jeszcze w zapasie *Niewiastę* z r. 1860 (ostatni kwartał — pierwszy istnienia), z 1861 roku, II, III i IV kwartał, z 1862 r. Iwszy kwartał. W oprawie sprzedaje się kwartał po 1 zł. 80 c. z przesyłką. Każdy kwartał tworzy osobną całość.

Listy i przesyłki *franco* prosimy adresować do *Redakcyi Niewiasty* w Krakowie.

Myśl i Bezmyślność.

Niema nic tak odrażającego, tak, rzec można, strasznego, jak kiedy widzimy człowieka-idyotę, pozbawionego wszelkiej wyższej myśli, tej złotej, promiennej nici wiążącej nas z niebem. Głowa takiego nieszczęśliwego jest tylko skorupą, napełnioną martwą massą mózgu; życie jego bezwiedną wegetacyą i czczą próżnią, a on sam tylko gadającem zwierzęciem...

Kto niezdolny natchnąć się wznioślejszą myślą, kto nie potrafił opromienić nią swego życia i swoich czynów, komu ona w chwilach świętego zapału niestrzeliła z oblicza nadziemską jasnością — ten niegodzien nazwy człowieka...

Myśl wyższa, szlachetniejsza, uzacnia nas niezmiernie i użycza naszemu duchowi polotnych skrzydeł—a cechując naszą pielgrzymkę piętnem bożego namaszczenia, zdolna zarazem i na *zmysłową* stronę naszego życia wywrzeć wpływ nadzwyczaj dobroczynny. O tym to ostatnim przypadku zamierzamy powiedzieć słów kilka.

Czy widziałaś kiedy, piękna czytelniczko, jedną z owych twarzy, które... mimo całą udatność rysów, mimo wzorową kształtność ogółu są przecież nie piękne, a nawet (przepraszam za nieestetyczność i brak należnej kurtoazyi!) odrażające, brzydkie?... To czoło, tak białe, tak poprawnie zakreślone, lśni jakąś lodową martwotą; te oczy tak piękne, tak powabne, odpychają jakąś zimną obojętnością, jakąś mroźną nieczułością — bo zamroczone mgłą duchowego idyotyzmu, zatleją chyba w gniewie; -- te usta, tak nadobnie wcięte, nieumieją się złożyć do śmiechu, którym śmieje się razem dusza czarownym wdziękiem; a na całej twarzy próżnia, próżnia czcza, zimna bezduszność, ckliwość, odpychająca bezwyrazistość.... To brak myśli, brak umysłowego natchnienia zostawił takie ślady!..

Lecz złóż na tem czole wyraz życia duchowego, zapal te oczy płomieniem wyższego natchnienia, światła, zakrój usta do uśmiechu pełnego treści -- rozlej po całej twarzy promienną strugę wznioślejszej myśli, a uklękniesz przed nią z uwielbieniem, jakby przed czarownem obliczem niebiańskiej posłanki...

Twarz kobiety, aby była piękną, powinna być niejako przeźroczystą tkanką, z pod którejby mógł świecić cały skarb *myśli* i uczucia; powinna umieć olśnić cię „wyrazem, w którego jednym rzucie wszystkie czucia razem“, jak mówi śpiewak Maryi. Twarz bez ożywczego tchnienia myśli, choćby nawet najudatniejszemi za-

rysowana kształtami, pozostanie martwą gipsową maską bez uroku i powabu.

Owszem badacze wzajemnych stosunków między ciałem i duszą utrzymują, że przeciągłe zajęcie się, jakąś myślą lub uczuciem, rodzi odpowiedni tymże wyraz na twarzy, nito odblask gorejącego wewnątrz płomienia. Od nas, od nas samych zależy, abyśmy byli pięknymi.

Ileż to bowiem razy twarz dziewicza, nie bogatym strojna wdziękiem, zachwyciła tylko owym cudnym wyrazem wzniosłej myśli, która, jak na tronie, rozsiadła się na licu?... Ten odbłysk wewnętrznej treści, ta łuna wewnętrznego Znicza — to kosmetyki tworzące cuda! Oby stanowiły toaletowe tajniki naszych zacnych Polek!...

Lecz nie tylko na twarzy odbijać się zwykła myśl. Jest ona nieomylną mistrzynią estetyki ruchów i giestów, niezrównaną modniarką w doborze sukień i strojów. Gdzie jej braknie, tam w ruchach niezgrabność lub rażąca komedyanckość; w stroju brak wszelkiego gustu, lub śmieszna przesada. Tak, moje panie, nawet gerderobą rządzi myśl — w dzisiejszych czasach osobliwie.

„Wiekuj ludziom myśli święta!. .“ — woła poeta, a my dodajmy: wiekuj naszym aniołom opiekuńczym, naszym matronom i dziewicom nietylko w świecie czysto-duchowego życia, ale nawet w *ich zewnętrznem wystąpieniu*. Wtenczas, sławna po świat cały uroda cnotliwych Polek, otrzyma wieniec pierwszeństwa nad całym rodzajem niewieścim!...

W. Ł.

Wykład Literatury Polskiej.

(Zob. Nr 5, 7, 8, 9, 10 i 11).

(Dok. Igo Okresu).

Powiedzieliśmy, że *poezya* ludowa ma na sobie barwę czysto miejscową, i inaczej być nie może. Pieśń jest potrzebą serca, tradycya więc pieśni starych zatraca się wśród powodzi nowych; te nowe zaś znowu są rozmaite między sobą, odnośnie do usposobienia ludu, który je tworzył. Lud nasz, na tak szerokiej rozsiedlony ziemi, niemógł zachować jednej cechy. Klimat, przyroda, okoliczności, sposób życia i zatrudnienia zrobiły wydatną różnicę między nim.

Ziemia ruska, oblana zielonem morzem stepów, insze ma pieśni niż tatrzańskie bałwany chmurami przepasane. I lud galicyjski znowu odmiennej śpiewa, niż wesoły Krakowiak lub przechwalny Wielkopolanin.

Mówiąc o wyprawie Igora, natrąciliśmy już nieco o charakterze pieśni ruskich. Step bezbrzeżny dumać każe, najazdy tatarskie smutne zostawiły wspomnienia, a ucisk o śmiechu zapomnieć kazał [1]). Dziwnie odbija ten ciemny, ponury koloryt pieśni ruskich, przeciągła nuta ich śpiewu od krakowskich piosenek krótkich, wesołych — znać jasne niebo nad niemi, czuć z nich tę fantazyę, z jaką Krakowiak nakłada czapkę na ucho, nawet i wtedy, gdy smutna myśl zaplątała się w głowie. Nawet w weselnych chwilach ta różnica jasno się uwydatnia; ale właśnie smutek, co ruską piosnkę powleka, podnosi jej urok poetyczny. Kiedy krakowska piosnka woła dziewczynę, by bez płaczu siadała na wóz, bo dość suty posag z domu wiezie, Rusin śpiewa:

[1]) Rozróżnić tu potrzeba pieśni ludu ruskiego od kozaczych wojackich, których ton i treść całkiem odmienna.

Zyjdy miesiacu, wyjdy jasneńko [1])
Z za czornoj chmary —
Zbyraj sia krasna nasza Kaseńko,
Poidesz uże z namy.

A dziewczynie żal porzucać tateńkę siwego sokoła, żal opuszczać chatę i strach jej przed nową dolą, której jej swachy niezachwalają i... rozplatując do ślubu jasne kosy dziewczęcia, śpiewają jej o morzu, w którem tonie, idąc za mąż:

W nediłońku rano
Synoje more hrało —
Oj to ne more hrało,
Marynońka potopała,
Wse bateńka żdała:
Ratuj mia bateńku, ratuj.

Podczas, gdy krakowska dziewczyna, nie tak głęboko patrząc w przyszłość, trzeźwiej i praktyczniej pojmuje zamęźcie, śpiewając:

Po cożeście przyjechali
Moi mili goście? —
Jeżlim wam się spodobała:
Ojca, matki proście.
A ja sobie pójdę za piec,
Wierę będę płakać —
Lecz wy na to niezważajcie,
Jeno targu dobijajcie,
A będziemy skakać [2]).

Często, zamiast głębszego uczucia, napotykamy w krakowskiej pieśni urągowisko z niego, przykraszone nieraz dowcipnym żartem, jak:

Szli parobcy z karczmy — tak sobie mówili:
Pójdziemy do Maryny, bo tam wieprza bili.
Nawarzą nom kiełbas, nasmazą nom kisek,
Powiem ojcu, matce, żem w zaloty przysed.

Chłodniej kocha Krakus, i łatwiej się pocieszy po niewiernej. Ta obojętność — to lekceważenie jednego z najpiękniejszych uczuć w życiu u ludu nadwiślańskiego, niepochodzi całkiem z braku serca; ale z braku zastanawiania się nad sobą, bo piękny świat rozrywa myślenie. Śliczna, rozmaita, wdzięczna przyroda rozrzuca jego myśli, a do piosenek się gwałtem prosi; więc Krakowiak, śpiewając, rzuca najprzód w dwóch wierszach jaki obraz z natury, a potem na tem tle naszkicuje dwoma ostatniemi wierszami jakieś uczucie własnego serca. Kilka przykładów wystarczy na dowód:

Szumiała leszczyna, kiedym przez nią jechoł,
Płakała dziewczyna, kiedym ją poniechoł.

Skowroneczek śpiewa — dzień się rozedniewa,
Dziewczyna się stroi — chłopców się spodziewa.

Leci ptaszek leci, ma pióreczka na krzyż,
Czemu ty, dziewczyno, krzywo na mnie patrzysz?

[1]) Przytaczane w niniejszym wykładzie pieśni wyjęte są ze znanych zbiorów pieśni: Wacława z Oleska (pieśni ludu galicyjskiego, polskie i ruskie), Żegoty Paulego (polskie i ruskie), Zajsznera (tatrzańskie), Lipińskiego (pieśni ludu krakow.), Kolberga (wielkopolskie). Zbiory pieśni litewskich, dość liczne, pominęliśmy tutaj, niechcąc zaliczać w zakres naszej literatury piesni, których język sam całkiem niesłowiańskie zdradza pochodzenie.

[2]) Robię tu nawiasowo uwagę dla nieobeznanych ze zwyczajami wiejskiemi, że śpiewy, przytaczane tu jako śpiewy panny młodej — nie przez nią, ale przez drużki są śpiewane. Panna młoda w natłoku uczuć, co jej twarz rumienią, milczy, a towarzyszki śpiewają ludziom dzieje dziewczęcego serca.

Przemówiła woda — przemówiła skała,
A moja dziewczyna przemówić niechciała.
i t. d.

Nawet wtedy, gdy boleśniejsze uczucie zawieruszy w piersi nadwiślanina, on nierad nagina piosnkę do płaczu, nierad się skarży i minę nadstawia:

Wiśta wołki, wiśta,
Bodajże go trzysta ..
Tego wokumona,
Co nas pędzi z doma.

Jest tu i buty krakowskiej wiele, co pierwej przekleństwo, groźbę rzuci; niż skargę — jak i w tej pieśni:

Wschodzi słonko, wschodzi
Od zielonej góry —
Panowie, panowie,
Drzecie nas ze skóry.

Na Rusi znowu brak buty, fantazyi, a strona liryczna występuje z całą siłą, którą śpiewność języka jeszcze bardziej potęguje. W ruskich miłosnych piosenkach znajdujemy podniosłość i delikatność uczuć wielką, jak np. w wierszu:

Zausze Boha o to proszu, szobyś buw szczasływyj
Choć z inszoju, ne zomnoju: bo ty meni myłyj.

Stoit werba nad wodoju, kołysze soboju,
Oj czy tużysz tak za mnoju, jak ja za toboju?

to znowu godność dziewczęcą:

Oj ty horo kamennaja, czom sia ne łupajesz?
Oj skaży my diwcze prawdu, w kim ty sia kochajesz?

Chybaby tam z pisku buła, szoby sia łopała —
Chybaby ja durna była, szobym sia pryznała.

Uderza w pieśniach ruskich częsta wzmianka o sierotach, i wielkie współczucie dla sierot. Anioły płaczą nad sierotą idącą do ślubu bez błogosławieństwa matki; pieśń woła ojców z grobu, by jej błogosławili; co w pieśniach krakowskich nieczęsto spotykamy. Tu tylko, chyba sierota rozpłacze się nad sobą. Nietrzeba jednak mniemać, jakoby pieśni krakowskie niemiały być często głęboko serdeczne, łzawe; smutek i ból i na Rusi i w Nadwiślu trapi serca i smutne piosenki wyciska; ale przeważnie charakter pieśni krakowskich jest weselszy.

Ta różnica pieśni wybija się w ich zewnętrznym układzie. Pieśni ruskie są zwykle dłuższe, niektóre z nich stanowią małe, skończone, treściwe poemata, podczas gdy krakowiak w czterech wierszach się zamyka.

W tatrzańskich piosenkach (wyjąwszy zbójeckich, które są przydłuższemi balladami), napotykamy ten sam układ wiersza, jeno uczucie dziksze, żywsze, silniejsze, pierwej wyrywa się z ust, a dopiero za tem idzie obraz z natury, np.:

To moje serduszko za tobą banuje —
Jako to słoneczko po niebie faluje.

Młodość moja, młodość, tak mi marnie ginie,
Już mi się nie wróci, jak liść na buczynie.

To moje serduszko takie rozżalone,
Jako to żelazo w ogniu rozpalone.

i inne, lubo nie wszystkie są w tym tonie. Ale i tego krótkiego czterowiersza góral w tańcu niewyśpiewa jednem odetchnieniem piersi — dwa pierwsze wiersze wykrzyknie i utnie zadyszany tańcem, aż po długiej chwili resztę śpiewu wyrzuci. Kto widział szybki, zwinny taniec górala, ten zrozumie takie urwanie pieśni. Przy monotonnej muzyce góral zadziwia patrzących śmiałemi skokami — taniec jego więcej jest popisem niż zabawą, i nie tai się z tem, gdy śpiewa:

Zapłać mi kaczmarko, co ci karczmę zdobię,
Całem gardłem śpiewam, a nóżkami drobię.

W sercowych sprawach górale są wyrozumiali aż do niemoralności, bo lubo namiętni: namiętności ich więcej żywe niż trwałe, i przemijają jak tatrzańskie burze:

Oj boli mnie głowa, boli,
Bo mój miły inną woli —
Niechże woli — wola jego,
Ja pokocham też innego.

Dusza górala żyje więcej zewnątrz siebie, i w tem mają podobieństwo do mieszkańców pięknych dolin, lubo ich niecierpią, nazywając z pogardą *Lachami* najedzonemi. Góral bowiem mniej dba o zaspokojenie żołądka, więcej o strój i porządek; a w miłości swych gór nagich i wód czystych o wiele przewyższa mieszkańców dolin. Z dziecinną naiwnością patrzy na tę dziewiczą, tatrzańską przyrodę, i ztąd nigdy sam się nieczuje, bo i w samotności (a w tej jest często, szczególniej pasąc owce po górach), umie się zabawić rozmową z lasami, owcami itd. i śpiewa: jaworze, jaworze, coś taki pękaty — albo: lesie mój lesie, lesie mój zielony — Dunaju, Dunaju, dunajecka wodo, itd.

Piękna, ale skąpa ziemia, wypędza górala z chaty za zarobkiem w doliny:

Płaczą dzieci, żona,
że mnie niema doma,

śpiewa idąc w doliny; ale nierad tam idzie, za to rad leci juhasić (paść owce) w góry. Tę część życia, spędzoną na górach, liczą oni do najpiękniejszych chwil. Samotne i dzikie życie w górach robiło nieraz zbójców z pasterzy. Zbójnik, w wyobrażeniu górala, to nie złoczyńca; ale bohater, śmiałek, i pieśni chętnie o takich śpiewają. Pieśni te o zbójnikach odpowiadają kozackim na Ukrainie, a wojackim na dolinach, których jednak bardzo mało. Zbójnik tatrzański, to nadprzyrodzona istota, i zniknąć przed pogonią umie i cudowną moc ma, i poświęcanej, srebrnej kuli potrzeba do jego śmierci. Buta, śmiałość i pogarda śmierci są ich cechą. Z jakąż obojętnością śpiewa zbójnik:

Hej jak mnie złapią — to se będę wisiał,
Na wierzchu jodełki będę się kołysał.

Kiej mnie obwiesicie, obwieścież mnie w mieście,
Baryłkę z paleńką [1]) nademną powieście.

Tam będę se wisioł, będę se spoczywał
Będę se paleńkę co chwila popijał.

Zresztą jest to lud zręczny, przebiegły a przytem dziwnie głęboko religijny i pełen uczuć narodowych. Świadectwem tego ta wielość podań z polskich dziejów, co się między tym ludem utrzymała.

Jak Rusina dziedzictwem jest duma, Nadwiślanina krakowiak — tak znowu cechą Wielkopolanina jest mazur [2]). Mazur niema tej fantastycznej zaciągłości krakowiaka — jest więcej skoczny, żwawszy i weselszy.

---

[1]) Paleńka — wódka przepalana.
[2]) Mazury śpiewa lud przy obertasie, bo tańca, który my mazurem nnzywamy, lud całkiem niezna.

Krakowiak śpiewając głowę na dół zwiesza — Mazur ją śmiało do góry podnosi. Trochę zuch, trochę pyszałek i chwalca, rad drwi z sąsiadów, i wyśmiewa ich.

Ale obok tych charakterystycznych pieśni ma Wielkopolska wiele ballad i powieści; z tych kilka historycznych, wszystkie treścią są ponure, nawet straszne, jak pieśni o żonie rawskiego pana, o bratkach, o Mazurach z Łysej góry itd.

Wszystkie te ballady znajdują się w szacownym zbiorze pieśni Kolberga (z rycinami, muzyką), dokąd czytelniczki odsełamy.

Takim sposobem ukończyliśmy 1szy Okres — gieniuszem, twórcą literatury tych czasów był lud, i dlatego twory i twórcę staraliśmy się poznać i ocenić z możebną dokładnością.

Dałoby się jeszcze wiele, bardzo wiele powiedzieć o pieśniach ludowych; liczniejsze przykłady objaśniłyby bardziej rzecz i niejednę uwagę podsunęły. Tak szerokie jednak rozpisanie się stósowniejsze byłoby do osobnej rozprawy. Zakres naszego wykładu niepozwala nam dłużej zabawić się przy tem; mamy bowiem przed sobą jeszcze długą a rozmaitą wędrówkę przez pięć następnych okresów.

Pożegnać nam więc trzeba pogańskie lasy i ludowe powieści, pieśni. Odtąd naród, wstąpiwszy na arenę publiczną, inną snuł literaturę i z innego wątka; lud, odtrącony od życia, historycznego w domowem zaciszu prządł dalej tę nić starych czasów. Kochanowski (w sobótce), Szymonowicz i Zimorowicz (w sielankach), później Karpiński trafiali na tę nić, ale jej rozwinąć nie umieli. Dopiero, kiedy lud z powstaniem Kosciuszki racławicką kosą wyrąbał się z niepamięci, i pieśń jego słychać w literaturze. Skrzętne zbiory pieśni dały poznać głębie ludu, pokazały poetom rodzimy wątek poezyi, który z takiem bogactwem rozwinęli.

Na tem kończymy okres pierwszy.

Poranek wiosenny.

Monolog młodej narzeczonej przy otwieraniu okna.

Jakże dziś cudny ranek!
Niebo ma kolor niezapominajka,
I... jakby wianek,
Ziemię otacza dokoła.

A słońce — to dziecięcia twarz wesoła!
Uśmiechem niewinnym się śmieje:
Uśmiechem, z jakim zdrój toczy swe wody,
Jakim nas wabią ku sobie nadzieje,
Lub z jakim kwiatek wita dzień pogody.
Ach!... to jest słońce wiośniane!
Nie ma w niem czerwcowej spieki;
Jak dziecię, dotąd u matki chowane,
Po raz pierwszy wychodzi z troskliwej opieki,
I idzie na świat — co je czeka w świecie?
Nie wie — umysł ma spokojny,
Troska serca mu nie gniecie,
Nie zna jeszcze z sobą wojny,
Nie zna żaru, ani znoju:
Dusza jego tak pełna spokoju!

Bezlistne dotąd drzew konary
Rzucają obraz swój na niebo szary;
Zaledwie pączki puszczają, a przecie
Ich piękność me oczy uderza,
Ach, bo najpiękniejsza w świecie
Jest młodość świeża!
I choć jej drogie nie zdobią szaty,
Ma urok bardzo — bardzo bogaty.

A ta trawka, taka mała,
Ledwie główkę pokazała,
Taka jasno-zielona!
Przycisłabym do łona
Tę malutką pieszczochę...
Szkoda — daleko trochę!

Cała ta ziemia takiem powietrzem oblana,
Jaki oddech czuję w swojem łonie,
Gdy serce jeszcze we snach lubych tonie,
A oczy pierwszy raz otwieram z rana
Z nadzieją, że ten dzionek nowy minie,
Szczęśliwy w każdej chwili i godzinie.
Z radości ledwie serce mi nie pęknie,
Ach, jak tu pięknie — tak pięknie!

To już ostatnia taka wiosna pono, —
Bo jeszcze tego roku
Zostanę żoną.
O! łzy mi stają w oku.
Chociaż kocham cię mój drogi;
Lecz rodzinne rzucać progi,
Białych lilij stracić wieniec,
I dziewiczych lic rumieniec,
Zerwać związek swój na wieki,
Co nas skuwa do przeszłości —
Taka myśl z pod mej powieki
Łzę wyciska, łzę żałości!

Kwiaty, co jeszcze nie żyją, uszczknione
Wplotą w me włosy — na ślubną koronę,
Złożę ją stając na stopniach ołtarza;
I zwiędną kwiaty — dni wiosny upłyną —
Nic się dwa razy w życiu nie powtarza,
Nie będę nigdy już więcej dziewczyną!

1860.

Adam Bełcikowski.

Zapóźno.

(Ustęp powieściowy z galeryi serc kobiecych).

(Dokończenie)

Od tego czasu pan hrabia był częstym gościem u państwa Alfredów. Z panią Konstancyą rozmawiał o zagranicy, z panem Alfredem o polepszeniu stanu kmiotków,

o postępie ludzkości; ale najwięcej rozmawiał z Zosią, lub raczej najwięcej do niej mówił, bo Zosia krótkiemi odpowiedziami rwała rozmowę jak zmotane nici, lub rzucała pytania, które mięszały wytrawnego salonowca. Zosia bowiem, choć nieśmiała, choć aniołek, miała maleńkie rożki dowcipu, któremi kłuła natrętnego konkurenta. A nawet myślę, że nietylko Zosia ma takie rożki...

A tymczasem po okolicy już głośno gadano o zamiarach hrabiego względem Zosi. Ciekawsze panie już kilka wizyt oddały pani Konstancyi, by się szczegółów dowiedzieć; wszyscy domyślali się, że hrabia już po oświadczeniu, że ślub będzie w czerwcu, i dla tego ani hrabia, ani pani Alfredowa niewybierają się do kąpiel.

Rzeczywiście hrabiego zajął „polny fiołek“ (jak nazywał Zosię). Człowieka zużytego, znudzonego życiem światowem poczęła bawić sielanka. Skromność Zosi i jej niechęć ku niemu, poczęły narkotycznie drażnić nie serce, lecz nerwy hrabiego, i postanowił się oświadczyć. Pani Konstancya przyjęła chętnie oświadczenie.

— Ale panna Zofia mi nie sprzyja — wtrącił uwagę hrabia.

— Zdaje się panu — rzekła z uśmiechem pani Konstancya — nieśmiałość, nie jest obojętnością. Serduszko Zosi nikim niezajęte. Za tydzień proszę do nas, a sądzę, że pan będziesz zadowolony z odpowiedzi Zosi.

Po odjeździe hrabiego wróciła Zosia ze spaceru. Dzień był gorący, upalny — Zosia w słomianym, dużym kapelusiku przechodziła przez salon do swego pokoiku.

— Gdzie ojciec? — spytała pani Konstancya.

— Został w altance, w ogrodzie.

— Zostań chwilkę przy mnie.

Zosia usiadła zmęczona, ocierając pot z czołka.

— Mogłabyś zaprzestać tych spacerów — rzekła niechętnie matka — opaliłaś się jak cyganka.

— A mnie się mamo cyganki bardzo podobają...

Pani Konstancya spojrzała poważnie na córkę — Zosię odstąpiła odwaga i chęć rozmowy, zamilkła.

— Ja nie chcę, żebyś jak chłopka latała po wsi. Czas już zostać poważną panną, masz lat siedemnaście, niedługo trzeba będzie iść za mąż.

— Ja?

— Proszę nieudawać zadziwienia. Myślę, że hrabia L. aż nadto dał ci poznać swoje chęci. Już oświadczył się nam o twoją rękę.

Zosi nagle zimno, lodowato się zrobiło; choć dzień był gorący. Słowa matki tem silniej uderzyły w dziewczęce piersi, że niemiała siły sprzeciwić się im. Ona tak nauczyła się bać słów matki. Przecież trwoga o los swój dała jej odrobinę odwagi.

— Ależ mamo... ja.. hrabiego. . niekocham. .

— Obejdzie się bez tego. Tylko w romansach kochają się, a tobie romanse powinny już wyjść z głowy. To nie jest przyzwoicie, to nie przystoi dla panienki dobrze wychowanej Hrabia jest całkiem *dobrze*. Człowiek w dobrym tonie, wykształcony, bogaty, ze starożytnej familii. Powinnaś dziękować Bogu za taki los.

Dziewczę rozpłakało się rzewnie nad tą świetnością losu. Matkę drażniło rozczulenie córki. Ona go pojąć nie mogła. Nieprzypuszczając do małżeńskiej rachuby praw serca, pojmowała szczęście kobiety ze strony zewnętrznej, błyszczącej. Pani Konstancya patrzała tak na świat od panieńskich lat. Młodzieńcze jej marzenia były bardzo trzeźwe, bardzo rozumne. Wśród ruiny majątkowej swych rodziców ona budowała na swej piękności przyszłość *złotą*. Zamiast tęczowych obrazów, w jej głowie uwijały się pojazdy, salony, bogate stroje, przepych.

Zamęście jej ziściło ledwie odrobinę tych marzeń, chciała więc ich spełnienia szukać w szczęściu córki, a oświadczenie pana hrabiego stawiało ją u wrót tego raju i niemogła pojąć płaczu córki. Zosia inaczej patrzała na świat i dlatego płakała.

— W przyszłą niedzielę hrabia przyjeżdża z formalnem oświadczeniem — spodziewam się, że będziesz rozsądną — i odeszła.

Dziewczę zanosiło się od płaczu. Słowa matki przecięły nagle tyle marzeń jasnych, tyle niedośpiewanych piosenek młodej duszy. Od tej chwili czuła się niewolną, ściśnioną, i dzień i kwiaty niewydawały się jej tak piękne, jak dawniej. Zerwała się i poleciała do ojca do ogrodu. Miała otuchę, nadzieję, że on ją z ciężkiej matni wywikła. Ojciec był nie sam w atlanie. Rozmawiał z ekonomem. Dziewczę czekało niecierpliwie, skubiąc w zamyśleniu rozkwitającą różę. Po odejściu ekonoma ojciec dojrzał Zosię.

— Cóż Zosieczko tak się zapatrzyłaś w zachód — oczka rozbolą od tego.

Zosia pobiegła ku ojcu.

— Cóż to, zapłakana?

— Ojcaszku, czy to prawdą, że ja mam iść za hrabiego?

— Czy ci matka już mówiła?

— Jakto, i ty wiesz o tem?

Pan Alfred pogłaskał włosy Zosi.

— Wiem, wiem... czy ci się niepodoba hrabia?

— Ależ ja go nie kocham . .

— A kogoż kochasz?

— Ja? .... — i poczęło dziewczę myśleć, i w tej chwili stanowczego zapytania niemogła sobie zdać sprawy z pogmatwanych uczuć serca. W dziewczęcej duszce, gdy się budzić poczyna, jest taki chaos uczuć kiełkujących, że dusza ich pełna; ale ich rozróżnić nieumie, niemoże.

— Ja niewiem sama ojcaszku... — odrzekła wreszcie i siadła myśleniem zmęczona na ławeczce. — Ale hrabiego niechcę... i ty nie pozwolisz ojcze, prawda?

Twarz pana Alfreda spoważniała, sposępniała.

— A gdybym ci powiedział Zosieczko, że ja życzę sobie tego małżeństwa?

Zosia wielkiemi oczami spojrzała na ojca, ostatnia jej nadzieja pękła w duszy i... bezsilne tą śmiercią nadziei... dziewczę siadło znowu, i pochyliło w dół główkę i oczy.

— Moje dziecko — mówił pan Alfred — możesz się nazwać szczęśliwą, że pierwej zasmakujesz w obowiązkach życia, nim się twe serce przebudzi miłością samolubną. Bo serce często kłamie nam szczęście, którego niema, a spełnianie obowiązków daje nam szczęście i spokój. Hrabia jest bogaty, będziesz więc miała szersze pole obowiązków i większą możebność ich spełniania.

Zosia słuchała mądrych słów ojca, jak więzień wyroku. Czuła ich wielkość i prawdę, a przecież młode serduszko potrzebowało czegoś więcej, czegoś innego. Wśród dumnych planów matki i bezgranicznego poświęcenia się ojca dla ludzkości, tłukło się naprózno biedne serce dziewczęcia, i we dwa miesiące potem Zosia została hrabiną L.

Tłumno było w kościele na ślubie. Panna młoda była blada, drżąca, oczy miała zapłakane. Hrabia pewny siebie, zadowolony, ze zwykłym sardonicznym uśmiechem na ustach.

Po ślubie państwo młodzi wsiedli do powozu. Hrabia trochę z drwinkami mówił o nieprzyzwoitości jej płaczu, o kolorycie twarzy wcale nieślubnym. Zosia milczała i zamyślona patrzyła przez okno karety w pole. Nagle silnym rumieńcem rozogniły się blade lica. Na

lichym, chłopskim wozie przejeżdżał w tej chwili doktor, zapewne z pomocą choremu. W krótkiej chwili mijania się pojazdu, Zosia uchwyciła wyraz jego twarzy. I on był dziwnie blady, bolesny; ale spokojny,—i on, spotkawszy ją oczami, zadrżał. Pani hrabinie przypomniał się pokoik Adasia, słowa doktora, jego wzrok głęboki, piękny, i pomyślała sobie: Boże! czemuż nie ten człowiek moim mężem! — Przelękła się tych słów, co teraz grzechem były, i odpędzała natrętne myśli od siebie.

Minęło kilka lat pożycia małżeńskiego hrabstwa L. Młoda Zosia zamieniła się w poważną kobietę, usta boleśnie się zakroiły, główka bardziej się pochyliła od smutku; ale przy tem w ruchach, słowach, spojrzeniu była ta pewność i siły, jaką daje walka z życiem. Niedziw, że Zosia tak prędko zabyła młodych latek w surowych obowiązkach żony. Mąż jej niedługo po ślubie zasłabł ciężko. Była to jedna z tych słabości, co... poczynając się wśród rozpustnych biesiad młodego wieku, kradnie z każdą chwilą życie i powoli ciągnie do trumny. Hrabia w tej słabości stał się nieznośnym, cierpkim, passyonatem, dokuczliwym, gryzącym. Sam pozbawiony przyjemności życia, chciał je zatruć wszystkim. Pomyślmy więc sobie cały szereg przykrości i cierpień, jakie dręczyły kobietę młodą, spragnioną życia; kobietę, która niemogła sobie nawet powiedzieć, że go kocha. Dręczona zjadliwą zazdrością jego, musiała zerwać z całą okolicą, i ciemny pokój hrabiego stał się jej jedynem mieszkaniem, gdzie więdła, ginęła. A smutno jej było pomyśleć, że ten los zgotowała jej wola matki, i całe złamane życie jej stało jak cierpki wyrzut pomiędzy nią i jej matką, i niemogła kochać tej kobiety, w której nigdy odrobiny serca nie widziała.

W takim była stanie, kiedy jej dano znać, że jej matka zachorowała niebezpiecznie. Zosia porzuciła jedno łoże, by usiąść przy drugiem. Ale nie miłość córki, jeno obowiązek gnał ją do dworu jej rodziców. Biedna Zosia kłamała przed sobą, że nie tak jest, a jednak tak było.

Idźmy wraz z nią do dworu pani Konstancyi. Dwór ten, na początku naszej powieści stał oświecony rzęsisto, i czekał balowych gości: dziś po smutnych, pustych pokojach chodziła służba na palcach, i pani Konstancya, którąśmy wtedy widzieli w zenicie piękności, dziś dogorewa, trawiona rakiem. Choroba i kilka lat życia dziwnie zmieniły piękne rysy kobiety; ale bardziej zmieniła się dusza.

Kobieta światowa, salonowa, przyzwyczajona do wizyt, komplementów, pustych rozmów — w wiejskiem osamotnieniu uczuła wielkie nudy. Adasia oddał pan Alfred do szkół, córki niebyło, mąż mało w domu siedział. Pani Konstancya chciała wśród zabaw miasta rozpędzić chmurki swoje, zapełnić pustkę duszy. I wyjechała. Ale w mieście dawnych znajomych nie zastała, nowe znajomości szły z oporem. Niezadowolona wyjechała za granicę, przypomniawszy sobie, że w pierwszych latach małżeństwa swego podróż podobna bardzo ją bawiła. I tu się zawiodła. Dawniej była piękną, młodą: wielbiciele i mąż, największy jej wielbiciel, czytali w oczach jej rozkazy i wszystko się uśmiechało. Dziś sama, z wybladłemi wdziękami napróżno chciała odświeżyć w duszy dawne chwile i odżyć niemi. Bardziej znudzona i już chora wróciła do domu. Kiedy się zbliżała do wioski, czuła jakieś nieopisane, błogie uczucie, trochę tęskne a miłe. Zapach lip, wierzby po łąkach, ogrody, łąki, wszystko to wydało jej się piękne jak nigdy, i poczęła żałować tych chwil, które gdzieindziej spędziła.

— O, tu mi będzie lepiej—mówiła, i było jej lepiej dni kilka; ale wnet wzmagająca się choroba uwięziła ją w łóżku. Wśród dotkliwych cierpień poczęła się modlić, długie chwile samotności zmuszały ją czytać dzieje własnej duszy, i zrobiło jej się żal zmarnionego życia. Serce poczęło się budzić ze swemi prawami, bo serce w każdym zadzwonić musi choć raz jeden; ale źle ludziom, którym zapóźno dzwoni, bo tylko mnichów ponure szepty zawtórzą nocnemu dzwonieniu.

Pani Konstancya w bolesnych chwilach rozmyślań przeszła historyę swego małżeńskiego pożycia, i niemogła sobie powiedzieć, że była dobrą żoną. Właśnie myślała nad tem, gdy do pokoju wszedł pan Alfred z gazetą w ręku i usiadł przy niej. Widok tego człowieka, któremu zabiła szczęście, na którego gorące serce rzuciła chłód i zmroziła je, poruszył ją. Wzięła go za rękę i słodko powiedziała:

— Ty nie jesteś szczęśliwym Alfredzie?

— O! owszem — rzekł pan Alfred, i czytał dalej gazetę.

Ta obojętna odpowiedź zamknęła usta dumnej jeszcze kobiecie. Ona nieumiała jeszcze prosić się ze swą miłością. I była dla męża jak dawniej; ale córka jej się przypomniała. Czuła, że pieszczoty tego dziecka mogłyby ją pocieszyć, ożywić. Napisała więc do niej. Niespokojna liczyła chwile tego przyjazdu, zdawało jej się, że widok córki ją uzdrowi. Jednego dnia pogorszyła się słabość, posłano znowu po doktora — pani Konstancya z gorączkową niecierpliwością czekała przybycia córki. Zaturkotało na dziedzińcu.

— To ona! — rzekła chora nasłuchując.

Rzeczywiście to była Zosia. Weszła do pokoju matki, pocałowała ją w rękę, zapytała o zdrowie, i siadła przy niej. Chora ścierpła od tego przywitania. Ona czekała na powitalny krzyk córki, na jej gorący uścisk, a zobaczyła tylko posłuszną córkę, co na wezwanie przychodzi do łóżka matki. Zagryzła wargi i odwróciła się do ściany.

— Chcę spać — rzekła — wszyscy odeszli — chora płakała, gorzko narzekając:

— Jacy oni zimni, kto mi wróci ich dawne serca?

W salonie doktor i hrabina L. czekali przebudzenia chorej. Oboje milczeli. On czytał na jej twarzy historyą bolesnego życia — ona myślała o nim i o matce. Po chwili hrabina przerwała smutne milczenie:

— Czy robisz pan nam jeszcze jaką nadzieję?

— Niestety pani żadnej — chora jutra niedoczeka.

Hrabina pokurczyła twarz, i zasłoniła się ręką. Wstyd jej było, że ta bolesna nowina niepowaliła ją z nóg, nieodjęła życia. Wyrzut ją szarpał, że z takim spokojem usłyszała wyrok śmierci swej matki, jakby obcej osoby: Przelękła się samej siebie.

— Boże! — rzekła — ja siebie niepoznaję, zdaje mi się, że mogłabym chodzić teraz wśród konających bez łzy w oku, bez boleści w sercu. Doktorze! to straszna choroba. Ja dawniej nie byłam taką.

Doktor popatrzył z współczuciem na mękę młodej kobiety i westchnął.

— Doktorze! czemu ja niemogę kochać mojej matki tak, jakbym powinna, jakbym chciała?

— Czemu? — ludzie serca łączy nić wzajemnej miłości, kto tę nić zrywa, przy tym wina. Można przywyknąć do obojętności jak do sybirskiego mrozu.

— O! to okropna jest ta zima serca.

— Chciałaś pani powiedzieć: zima jednego z tysiąca uczuć, bo serce żyje i kocha, choć wiele uczuć, jak powiędłe kwiaty, spadną mu na dno. Czyż pani nieczuje tej prawdy?

Twarz hrabiny lekko się zarumieniła, odwróciła się ku oknu. Doktor był wzruszony.

W tej chwili chora zadzwoniła. Hrabina i doktór weszli do jej pokoju.

— Uciekacie odemnie wszyscy — mówiła cierpko chora — prosić was trzeba do łóżka chorej. Przynajmniej ty doktorze niepowinieneś mnie odstępować, bo ci płacę.

Hrabina drgnęła na tę obelgę, doktor z politowaniem spojrzał na chorą.

— Gdzie twój ojciec — spytała znowu chora — czyż i w ostatniej chwili zapomni o mnie?

Posłano po pana Alfreda. Przyszedł do łoża, i spytał chorej, czego jej potrzeba. Ona uśmiechnęła się gorzko.

— Jak to wam powiedzieć, czego ja chcę? — ja chcę żebyście płakali, żebyście rozpaczali; ale tego nauczyć niemożna.

Bezsilna upadła na wznak, i tak długo leżała. Potem się podniosła, spojrzała po twarzach otaczających ją osób. Irytowały ją oczy ludzkie.

— Wam nudno tak siedzieć przy mnie. Idźcie, idźcie, ja chcę tego! Doktor i ksiądz niech zostanie.

Nad ranem pani Konstancya już nie żyła.

— Biedna kobieta — rzekł ksiądz — wiele cierpiała.

— Bo zapóźno ten posąg poczuł się kobietą, i serce pierwej zabiło miłość innych, nim się samo ocknęło. Biedna!

Pani hrabina całe pół dnia klęczała u trumny matki. Po południu wyjeżdżał doktor.

— Pan odjeżdżasz?

— Gdzie trumna, tam ksiądz potrzebny, nie doktor.

— A jeżeli są chore serca, co potrzebuią rady nie lekarskiej, ale przyjacielskiej?

— Chore serca tylko czas, sumiennie spędzony, i modlitwa ukoi.

— Dziękuję, bardzo dziękuję za radę doktorze, takie dusze, jak twoja, umią dawać siłę tym, co upadają.— I podała mu rękę. Doktor wzruszony ucałował tę rękę, oboje drżeli.

— Jedź do swoich obowiązków, a ja pójdę spełniać moje.

KONIEC.

Michał Bałucki.

POLKI LITERATKI.

(Zobacz *Niewiasta* r. 1860 Nr 7 i 8, i r. 1861 Nr 1, 2, i 4; r. 1862 Nr 2, 3, 4, 5, 6, 8 i 10).

Pochwalił feuletonista *Czasu* powieść *Ludwiki hrabianki Ossolińskiej*: „Przygody Zosi" (Kraków 1850). Między innemi powiedział, iż pisała z dziwnym urokiem i poprawnością, i odziedziczyła po stryju głęboką znajomość języka polskiego. (*Czas* 1850 N. 37). Komplementa to za zbyt śmiałe, Ossolińska nie znała języka. Trudno o gorszy styl, przepełniony gallicyzmami; trudno o większą nieumiejętność władania językiem — jakie widne w tej powieści.

Ostrowska Albina jest autorką powieści: „Miesiąc u Hrabiny." Warszawa 1850. Zasilała swemi pracami *Pierwiosnek*. — Panna *B. O. W. K.* wydała powieść: „Miłość na doświadczeniu" z franc. Mińsk 1797. — *Paradowska Innocenta* umieściła w dzienniku mód lwows. 1845, powieść: „Dwa obrazy" pow. z życia, — *Płużańska Emilia* zamieściła pow. w Snopku Nadwiśl. 1845.— *Podbereskiej Roży* „Życie motylkowe" wyszło w Petersburgu 1845, z widokiem Druskiennik. — Powiastki *Potockiej hr. z Mniszchów*: „Ożenienie filozoficzne", „Panna S." — drukowane w pamiętn. naukow. liter. 1849, i w *Czasie* dod. liter. 1850, — lubo chwalone, pisane są zepsutą polszczyzną.

Pani J. R. (czy *Radolińska?*) tłómaczyła romans *Suego*: „Dzieci miłości", Warsz. 1850, taż przekładała *Debaya* — *Romer Izabella* zamieściła w Rozmait. Lwows. 1843 r. powieść: „Skała Babake."

Hr. Rzewuska Rozalia, jest autorką bezimiennej powieści: „Jadwiga, królowa polska," T. 2. Warsz. 1823.

Sanguszkowa księżna Barbara z Duninów, żona marszałka, przełożyła: „Hrabia de Valmont czyli błąd rozumu," z franc. T. 2. z X. Jerand, Warsz. 1788 — tłómaczyła *la Valierową* i *Dra Kurcyusza*, o czem gdzieindziej.

Suchodolska Petronella z Suchodolskich, kasztelanowa radomska przełożyła powieść: „Sara Th." z fran. Warszawa 1782. — Pani *Serponti Zuzanna* tłómaczyła: „Zwierzenie i poufanie ładnej kobietki (Warsz. 1787 i 1806, edycye dwie). — Powieść *Stryińskiej Maryanny* (1778 † 1848): „Panna Floryanna" umieszczoną jest w Pamiętn. Umysł. moral. (Warszawa 1830).

Swarackiej Karoliny H.: „Wzorki małego teatru," (*Atheneum* 1843, IV), „Marzenia i Rzeczywistość" (w *Pamięt. Umysł.* 1845) rokują talent — szkoda, że z niczem więcej nie wystąpiła.

Marya Szczemiowska wydała nieznany dzisiaj romans: „Wspaniały dowód miłości hrabiemu Wilfontowi uczyniony przez Luisę, czyli wiadomość szkocka." Warsz. 1786, przełożony z francuskiego. Pierwsze wydanie Petersburg 1785. Dołączyła doń własne poezye i wiersz *Marmontela*.

Szwejkowska Jadwiga z Niemcewiczów zmarła w r. 1854, jest autorką powieści: *Reginka*, Warsz. 1853, napisanej słabo, lubo nie bez uczucia i fantazyi, a potępionej przez *Marcinkowskiego* w Gaz. Warsz. 1853, Nr 197—199. — Powieść poetyczna: *Miłość, gwiazdy i kwiaty* (wierszem), zapowiedzianą była r. 1854, w Dzienn. Warszawskim. — W powieści *Pani Fida* (Warsz. 1855) widno postęp. Zmarła zawcześnie, a żaden dziennik nie podał nekrologu i wiadomości o jej pracach.

Wcale obiecujący jest talent *Czesławy Szyrmianki*. Wydana saga skandynawska: *Audun z białym niedźwiedziem*, (*Czas* dod. mies.) dowodzi znajomości i władania językiem, tem więcej godnych uznania, gdy się zważy, iż autorka od dzieciństwa przebywa w Szkocyi.

Ludwika Szreiberówna zasilała obficie czasopismo: *Zbieracz literacki*; nadto nap. dziełko: „Ostatnie chwile Maryi Stuart." Kraków 1838.

Szymańska Ludwika przetłómaczyła powieść *Suego*: „Matylda." T. 3. (Warsz. 1844).

Pani *T. . . . .ska* jest autorką obrazu romantycznego „Powstaniec litewski," z czasów rewolucyi r. 1831. — Lipsk 1845.

Pani *T. L. z K.* jest przekładczynią romansu *Dumasa*: „Dwie dyanny," t. 6. Warsz. 1848. — *Franciszka Tarnów* umieściła w Rozmait. Lwows. 1820, przekład powieści *Pomzerana*: „Chimana księżna Infantado.

Panna *W. . . .r K.* wydała przekład głośnego niegdyś romansu: „Saint-Clair, czyli wygnańcy na wyspie Barra." T. 4, edycye dwie (1827 i 1829).

Widulińska Joanna, zmarła 1861 r., redaktorka *Magazynu Mód*, tłómaczyła powieści pani *Choiseuil Gouffier* i pani *Bouilli*: „Polak na wyspie Saint Domingo" Warsz. 1829. „Powieści dla mojej córki." — „Powieść z dziejów polskich" 1828. „Henryk i Floreta." Warszawa 1824.

Wiercińska Izabella wydała powieść: „Siostra miłosierdzia", T. 2. Warsz. 1854. potępioną przez *Marcinkowskiego* (w Gaz. Warsz. 1854, Nr 197—199). Jestto pierwsza praca autorki, jest nadzieja że potrafi lepsze pisać powieści. W r. 1857 miała gotowe do druku powieści: *Jerzy Ossoliński*, *Narzeczona*, lecz ich nie drukowała.

Wiktoryi powieść jest w Snopku Nadwiślańskim r. 1845, nazwisko autorki nie wiadome.

Wodnicka Joanna tłómaczyła powieść *Skribego*: „Barbaryści". Warsz. 1841, i *H. Kocka*: „Podejrzenie". Warszawa 1847.

Wolf Anna wydała przekład *Saintine*: „Ciotka mojej babki" pow. z franc. Warsz. 1846.

Pani *Z.*, . . . *a L*. . . . *a* zasilała powieściami zwykle tłómaczonemi, Rozmaitości Lwowskie od r. 1823—1826.

Załuszczyńska Zofia, córka podpułkownika, drukowała romans z franc.: „Fanni czyli żal szczęśliwy." Warsz. 1784.

Zawiszanka Beata, wojewodz. mińska, wydała romans: *Aryamen* z franc. Warszawa bez wyr. r.

Z... *Anna z M.* tłómaczyła z angielskiego: „Szczęście i niedola" pow. Warszawa 1844.

Żebrowska A. K. z B. wydała romans w listach: *Trzy przyjaciołki*, T. 2. Warsz. 1842.

Żółkowska Klara jest tłómaczką Powieści moralnych. (Wilno 1825), tłómaczyła też powieść *Maryi Edgeworth*.

Do tych prac dodać trzeba utwory bezimienne jakoto: *Kolenda* rowiennicom przez młodą Polkę. Warsz. 1818. *Edgar i Celina*. Lwów 1837. — *Konstancya Zasławska*. *Eudoksya księżna Mazowiecka* przez autorkę Konstancyi. Wilno 1834. — *Ludwika, czyli odludne mieszkanie*, z angiel. T. 2. Warsz. 1802. — *D. D.* „Cztery spotkania", powieść (w Dzienn. Mód 1840.

Na tem kończy się obraz bibliograficzny prac powieściarskich autorek naszych. Są złe, są i dobre prace. Przyjrzawszy się całości, zobaczymy, że rośnie liczba piszących, i wzrasta liczba prac dobrych, a wykształcenie niewiast polskich opiera się coraz silniej na gruncie narodowym, dając odprawę cudzoziemszczyznie.

L. R.

Wiadomości literackie.

W Krakowie u Wywiałkowskiego wydał Aleksander hr. Przeździecki „Kronikę Polską" Kadłubka († 1223) podług rękopisu Eugeniuszowskiego w oryginale i tłumaczeniu polskiem, wykonanem przez pp. A. Józefczyka i M. Studzińskiego. I wydawca i tłómacze zasłużyli się dobrze ojczystej wiedzy: bo i wydanie i tłumaczenie sumienne i bardzo dbałe. Zacny wydawca, pobłogosławiony środkami i rozmiłowany w służbie narodowej, nie potrzebuje ani naszej, ani niczyjej zachęty do dalszych prac i usiłowań; lecz pp S. i J. należy najmocniej zachęcać, aby nie zaniedbywali nadal pracy na polu, na którem dali dowody bardzo ważnego, chociaż w tych czasach dość lekce cenionego i tyranego talentu do przenoszenia dzieł z jednego na drugi język.

Aby i Zacne Czytelniczki nasze powzięły jakiekolwiek wyobrażenie o spolszczonej Kronice Kadłubkowej, przytaczamy z niej następujący ustęp:

„Ponieważ.... męża dzielnego nietylko siła cielesna zdobi, lecz także nieskazitelność ducha, dla tego Kazimierz (Sprawiedliwy) nie mniej usiłował potwory serca pokonać, jak dzikie zwierzęta. Jak zaś wielka była szlachetność jego duszy, jak wielka stałość i odwaga, a obok wielkiej odwagi wytrwałość w pracy, nie łatwo tu opisać. Może chcesz słyszeć śmieszne wprawdzie zdarzenie, lecz cechujące jego cierpliwość. Pewien młodzieniec namówił tego księcia, aby grali w kostki. Schodzą się i spotykają, w środku leży nagroda zwycięztwa, wielka ilość srebra. Chwieje się niejaki czas szczęście wojenne, niepewne rzuty kostek, ów w strachu wzdycha, drży, całkiem osłupiały między nadzieją i obawą, od zmysłów odchodzi, aż nareszcie następny rzut kostek los wojny rozstrzyga i wyrok zwycięztwa dla księcia ogłasza. Wtedy gracz, uniesiony rodzajem szaleństwa, podniósł pięść, machnął nią mocno i uderzył w twarz księcia i uciekał korzystając z ciemnej nocy, wymknąwszy się z rąk krzyczących ludzi Ledwo go znaleziono, zaraz stawiono przed sąd i wszyscy uznali go winnym zbrodni stanu i skazali na rozszarpanie. A gdy tenże niczego się nie spodziewał, jak tylko okrutnej śmierci, wtedy rzekł książę: Nie unoście się rozwością sędziowie, ponieważ jest znakiem nierozsądku gniewać się dla błahych przyczyn, niesłuszny bowiem tego gniew, którego umysł wewnątrz spokojny nie rozbierze pobudek gniewu. Nie godzi się badać tego, którego los w niebezpieczeństwie, Cóż bowiem proszę gniewu godnego biedny Jan przewinił? Tak się ów młodzieniec nazywał Coby było, gdyby sąd na ślepy traf uskarżał? A czyż nie jest to ślepy traf, kiedy w równej sprawie biednego pognębia a potężnego wywyższa? Niesprawiedliwy jest w obu razach, okrutny dla biednego, a podchlebny dla możnego. Słuszna jest zatem, że nie mogąc wywrzeć zemsty za krzywdę na losie, usiłował ją wywrzeć na dziecku losu. Aby raczej prawdę powiedzieć, zysk dodał do zysku, a fortunę moją zwyciężył darem. Ta mi dała pieniądze, których mam dosyć, on zaś obdarzył mię złotą roztropności oznaką, bez której się książę obejść nie może. Roztropność mię nauczyła, że niebezpieczna jest dla księcia wdawać się w gry, niebezpieczniejsza jeszcze w najmniejszych nawet rzeczach puszczać się na śliską ścieżkę losu. Rozumem bowiem powinni książęta rządzić, nie ślepym trafem. Wielkie więc dzięki winienem Janowi, który jest sprawcą, iż nic nie powierzam płochości i ślepemu trafowi. Tak to ów krzywdziciel przyjęty został do łaski książęcej i darami jak najhojniej obsypany."

— Wyszedł we Lwowie nakładem Wilda drugi zeszyt „Historyi Polskiej" Józefa Szujskiego bardzo pożytecznej, szczególnie dla dojrzalszej młodzieży, dla której ją młody, pełen talentu i wielkiej pracowitości Autor ułożył

Na drugim zeszycie kończy się tom Iszy zawierający w sobie czasy Piastowskie włącznie aż po Ludwika węgierskiego siostrzana Kazimierza W. i po Jadwigę wnuczkę Kazimierzową. O Autorze „Historyi Polskiej" powiemy za Mickiewiczem: że kto w kolebce dusił węże, mężem zwalczy centaury.

TEATR.

Dnia 11go t. m grano dramat z francuskiego: „Ritta hiszpanka." Nie nowa ta sztuka należy do tych, które brakiem naturalności gwałtem się dobijają efektów; jestto źwierciadło, ale wypukłe — gubi się w niem zupełnie proporcya, a tylko te części przedmiotu, od których się podobało autorowi rzucić silniejsze promienie—rażą potwornością.— Dwie główne role w tym dramacie mieli: Panna Drewnowska i p. Królikowski. Panna Drewnoska, przeszedłszy szkołę dramatyczną w Warszawie, pierwszy raz podobno stąpała po deskach teatralnych. Jej postawa, wdzięczny głos, czynią ją sposobną do ról dramatycznych, a jak tego dała już małą próbę, i na talencie jej nie brak w tym kierunku. Niekiedy, mianowicie w akcie 2gim, uderzała wprawdzie trochę zbyteczna a jednostajna może deklamacya, pozbawiona giestykulacyi; lecz za to w akcie 3cim, gdzie rola pozwoliła jej rozwinąć silniejsze pathos, pokazała, że umie je połączyć z naturalnością, i grać nietylko słowami autora, lecz swemi ruchami.

D. 13go marca na benefis zasłużonego na naszej scenie artysty p Delchau, przedstawiono starą i wcale nie ponętną sztuczkę, p. t.: „Łukasz z pod Łukowa." Fabrykat ten będący w jednej trzeciej części komedyą, w drugiej melodramatem, a w trzeciej tragedyą, nie ma żadnej artystycznej wartości, i niezasługiwał bynajmniej na to, aby go p. Delchau obierał na swój benefis. Odegrano go też wcale nie artystycznie, wyjąwszy pana Bendy, który z całą salonową lekkością, i w najwierniejszej prawdzie przedstawił dandysa z przed zielonego stolika, co to poprzysiągł sobie nic nie robić więcej, jak tylko grać w karty, pić wino, tańczyć, grać fałszywie na gitarze i bałamucić dziewczęta P. Benda okazał znów w oddaniu tej roli wielki i znakomicie rozwinięty talent, potrzebujący tylko prawdziwie mistrzowskiej ręki do pokierowania sobą, aby sobie na trwałą sławę zasłużył.

D. 16go marca mieliśmy nową sztukę J. I Kraszewskiego pn.: „Miód kasztelański." Wesoła ta i dowcipna krotochwila — której autorowi jak to sam we wstępie do niej powiada, ani o intrygę, ani o akcyę dramatyczną nie chodziło — ubawiła licznie zebraną publiczność, i w serdecznym śmiechu najmilszy poklask znakomitemu autorowi zyskała Grano ją bardzo dobrze. P. Królikowski przedstawił, z właściwym sobie do wyższych komedyj talentem, pełnego życia i humoru rotmistrza, jak również dobrą grą wtórowali mu pp. Delchau i Janowski. Pierwszy tylko zanadto przypominał Milczka ze „Zemsty", a drugiemu zarzucićby można brak jednolitości charakteru, oraz zbyteczne tegoż zgamoniowanie. W ogóle jednak gra tej sztuki poszła bardzo dobrze.

Mód paryskich i Deseni, wyglądamy co chwila.

K. J. Turowski. Redaktor odpowiedzialny. —Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. **Antoni Rother.**